

Płomyczek

Rok 25 Nr 13

pisemko dla młodszych dzieci

1. III. 1947



W ŚWIAT

ŻÓŁW



Spotkał żółwia rak

I powiada tak:

— Dziś u mnie imięiny,
Proszę przyjść za pół godziny.
Żółw się wystroił, ubrał w kalosze
I poszedł.

Idzie, idzie, idzie żółw,
Przeszedł górkę, przeszedł rów,
Minął jeden, drugi krzaczek,
Dwie stokrotki, polny maczek,
Siedem trawek, trzy bławatki,
Liść łopianu, cztery bratki,
I tak idzie, idzie wolno
Gęstą trawą, miedzą pełną.
Zanim doszedł do olszyny,
Minęły cztery godziny.

A pod olszyną
Stoi rak z rodziną.
Żegna gości wesoło,
Kłania się w koło.
Wtem patrzy: żółw! Mrugnął na
niego oczkiem...

— A... Witam! Dokąd to pan swoim
żółwim kroczeniem?

— Jak to dokąd? Do pana na
imięiny —

Mają się zacząć za pół godziny!

Rak się ze śmiechu zwija:

— Już czwarta godzina mija,

A goście mili

Już się najedli, napili

I skończone imięiny.

Miał pan przyjść za pół godziny,

Niechże pan przyjdzie za rok,

To w sam raz na taki żółwi krok.

Stanisław Raczyński

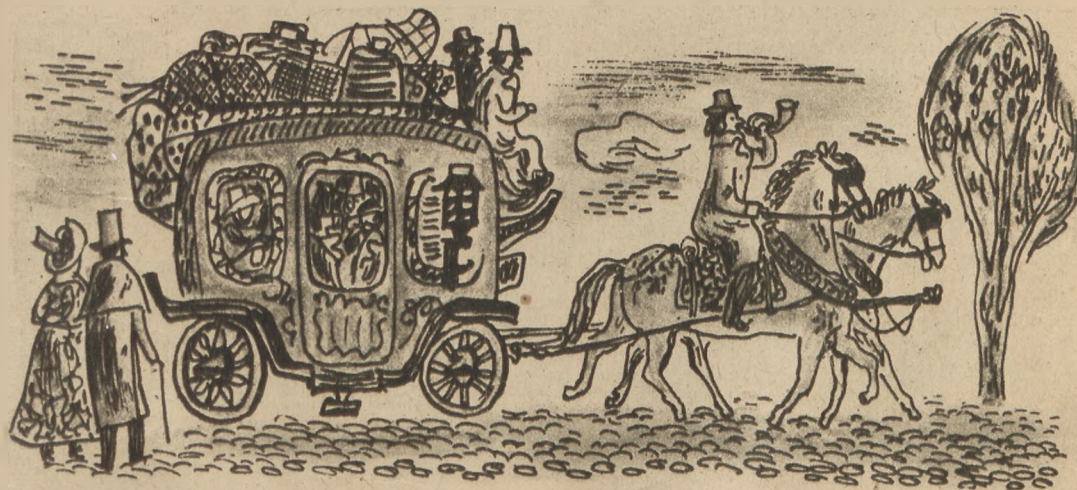
*

DAWNIEJ! DZIŚ



Nasz pra-pradziad do Paryżajechał miesiąc aż! Wiozły go tam trzy rumaki u karety z czarnej laki, za nim bryka z bigosami, winem, pi-

wem, kielbasami, za tym jeszcze bryka druga, gdzie kontusze i usługa, a na końcu straż!



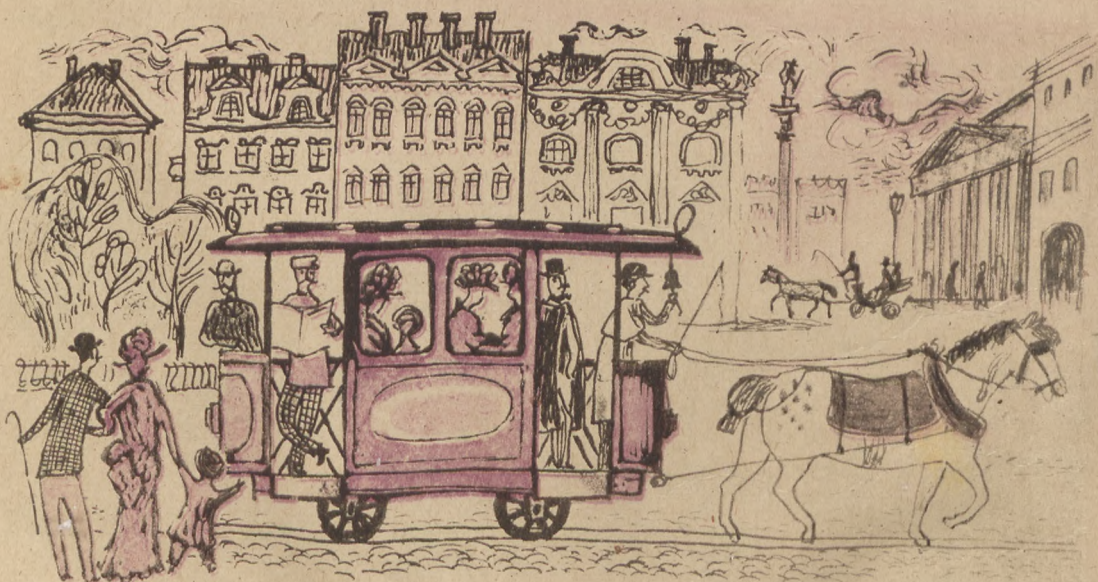
Pra-pradziadek dyliżansem podróżować mógł. Ten na koźle z biczą trzaskał: „Proszę siadać, jeśli łaska,

dobrze konie, gniadej maści, do Warszawy wiozę gościów, choć powoli, lecz bezpiecznie dojedziemy ostatecznie. W drogę! Z nami Bóg!”



A pradziadzius pierwszy pociąg widział okiem swym. Puf! puf! oto już się zbliża, więc się żegnał znakiem krzyża: „Bo to, panie, może

czary, taki ciężar — siłą pary?“ A parowóz wielkie ślepia niby zwierzę w niego wbiegał, górą buchał dym!



A nasz dziadek już tramwajem jeździł. Prawda to. Lecz tramwaje były inne, konie je ciągnęły zwinne,

a na przędzie „motorniczy“ bez motoru, ale z biczem, jechał wolno, dzwonkiem dzwonił, łatwo było go dogonić, wołał: wiśta-wio!



A nasz ojciec, jeden z pierwszych, balonem się wzbił. Hej, patrzyły ludzie tłumy, jak się wznosił ponad chmury, jak się wzbijał pod obłoki, jak oglądał świat szeroki, jak doleciał aż... do nieba, katastrofy nic się nie bał. Tak odważny był!



A my? Hej, w obecnej dobie każdy życiu rad. Dobrze teraz mają ludzie, nie trzeba się drogą nudzić, okręt, auto, aeroplan, metro, pociąg

i hydroplan, a pod góry — to zębata kolej niby ptaszek wzlata. Hej, otwarty świat!

Hanna Ozogowska

AUTOSTRADA

Miłe jest to nasze podwórko, duże, widne, tylko błotniste bardzo. Jak sucho, wszystko dobrze, i bawić się można doskonale, i biegać. Ale po deszczu błoto, że ani przejść. Pod poprzeczną oficyną kałuża zaraz na dwa metry, obchodzić trzeba daleko, aż popod składzik, gdzie suszej, bo wyżej ździebko.

Przyjdzie, bywało, nad tę kałużę dozorca, pan Wincenty. Głowę po swojemu w prawo przekrzywi, lewą ręką za uchem się skrobie.

— Trzeba by toto przekopać i spuścić do rowu.

— Ano trzeba — odpowiadał sobie sam. — Żeby to czasu kapkę znaleźć.

Tylko, że pan Wincenty, choć powtarza to po każdym większym deszczu, ale nigdy jakoś czasu znaleźć na to nie może. Przepadł i ba-



sta! Szuka pan Wincenty, szuka, ale nijak znaleźć nie może. Pod pierzyną w łóżku szukał; powiadają, że nawet i do szynku chodził szukać, ale wszystko na darmo. Czas, jak zginął, tak go nigdzie znaleźć nie sposób.

A tu błoto i błoto. Czasem głębokie, że ludzie pantofle i buty w nim gubią, czasem — zaraz po deszczu — płytkie, ale śliskie takie, że nie daj Boże. Nie ma jesieni czy wiosny, żeby parę osób nie leżało. Stary Kazimierz Swoboda, introligator, szedł kiedyś po tej ślizgawicy. Rryms! Przewrócił się na lewy bok. Jeszcze się dobrze nie podniósł — Rryms! przewrócił się drugi raz, tym razem na prawy bok. Cały się dookolusienka błotem galanto oblepił, że go rodzona córka w domu nie poznała.

Kiedyś dzieci, a jest tego na naszym podwórku cała czereda, razdziły, w co by się tu bawić.

— Wiecie co — powiada Franek.

— Zabawmy się w prezydenta.

— Jak? W prezydenta?

— A no tak, w prezydenta. Ja będę prezydentem miasta i będę zwiedzał podwórze.

Spodobała się ta zabawa. Prezydent miasta w osobie Franka zjechał we wspaniałym, choć drewnianym samochodzie, ciągnionym dla pewności przez Antka i Józka.

— Tę kałużę trzeba spuścić do rowu. Wybrukować ścieżkę... — rozkazywał prezydent.

Później Franek był inżynierem. Wyzначył patykami, któredy ma iść rowek.



Potem był kopaczem. Trzy dni kopali na zmianę jedną starą łopatą od wapna, wycyganioną od pana Wincentego.

A potem było uroczyste spuszczenie wody z kałuży do rowu. Wszystkie dzieci patrzyły z triumfem, jak kałuża malała w oczach.

A potem była zabawa w brukarzy. Dwa dni znosiły dzieci kamienie i cegły z całego Powiśla na swoje podwórko. Inne nosiły piasek znad Wisły wiaderkiem. Szczęściem nie było daleko, tylko że wiaderko było dziurawe. Ale potem zatkali dziurę wiechciem i już się piasek nie sypał.

A kiedy się wzięli do brukowania, przyszedł do nich pan Antoni, szewc mieszkający w facjatce w poprzecz-

nej oficynie, i zaproponował im pomoc w tak pożytecznym przedsięwzięciu.

Dzieci były bardzo dumne. Dorosły zgłosił się do nich, do ich roboty. No, no...

Potem zgłosił się i drugi lokator, i trzeci. Już dzieci nawet nie były rade. Że to już nie one same zrobią. Za to aż huczało na podwórzu.

A po tygodniu ścieżka była skończona. Od oficyny poprzecznej aż pod samą bramę.

Potem przyjechał znowu swoim drewnianym samochodem pan prezydent miasta i przeszedł po nowej autostradzie.

Wizytacja wypadła doskonale.

Kazimierz Konarski

PODRÓŻNICY

Mały Janek
z bratem Tadkiem
pojechał raz
Wisłą statkiem.

Dziesięć dni
jechali może,
aż ujrzeli
modre morze.

— Owszem, jechać
statkiem miło, -
tylko bardzo
długo było...

Uznali więc,
że z powrotem
będą jechać
samolotem.
Nad chmurami
lot zuchwały!
Świat na dole
taki mały...

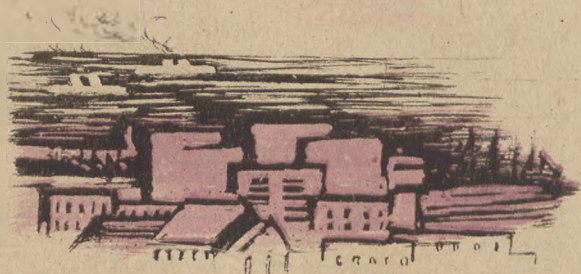
— Miła jazda,
ani słowa.
Kręci nam się
tylko w głowach!

— Podróż w góry
w przyszłą środę
odbędziemy
samochodem.

Auto szybko
mknie po szosie.
Pach! zepsuło się
coś w osi.

— Miła to
komunikacja,
lecz się szybko psuje!

— Racja!...



Pociąg sapie,
bucha para:
z gór już dzielna
wraca para.

— Ciasno, nawet
siaść niesposób,
wciąż przybywa
wiele osób!
Jechać było
doskonale,
lecz za ciasno
w tym przedziale...

Odpoczynek
trwał dni pięć.
Znów do jazdy
przyszła chęć.
Kto ma żylkę
do podróży,
temu czas się
w domu dłuży.

— Nie straszą nas
niewygody.
Dalej, w podróż
po przygody!

Czesław Janczarski

*



POMPERIPOSSA

Była sobie przed wielu, wielu tysiącami lat bardzo stara czarownica. Nazywała się Pomperipossa.

Nie jest to piękne imię — prawda? ale i tak było ono sto razy piękniejsze od samej czarownicy.

Czy możecie sobie wyobrazić, jak ona wyglądała? Oto tak:

Miała małe, czerwone oczy i wielkie usta, a w nich tylko 3 zęby. Na całej twarzy i na rękach miała brodawki. Ale najgorszy to był jej nos, bo był długi jak parasol.

Pomyślcie tylko, ile to tabaki trzeba było do takiego nosa! Pół funta na raz.

I jeszcze dodam, że Pomperipossa nigdy nie myła się i nie czesała.

Ta czarownica była bardzo bogata. Mieszkała sama w małym domku w lesie, a ten domek ściany miał z pierników i czekolady, a komin ze słodkiego ciasta.

Tak bogata była Pomperipossa!

Nikt nie ośmielił się iść w tę stronę lasu, gdzie stał domek czarownicy, bo wszyscy się jej bali. Wcale się nie dziwię, bo przecież kogo tylko ta wiedźma zobaczyła, to go zaraz zaczarowała: albo w stół, albo w beczkę, albo w kociołek — co jej tylko było potrzebne.

Tak, to była bardzo niebezpieczna czarownica.

Ale i ona miała swe wielkie zmartwienie. Oto, gdy kogoś zaczarowała, to zaraz /nos jej się wydłużał.

I to było jedyną karą za jej złe czyny.

W tym samym kraju, w którym żyła Pomperipossa, mieszkał książę, który miał dwoje dzieci: małego księcia Mimi i księżniczkę Fifi.

Pewnego pięknego dnia Mimi i Fifi poszli na spacer w towarzystwie ochmistrza dworu. A ten ochmistrz był tak dumny, że wcale nie chciał z ludźmi gadać. Na wszystko



odpowiadał tylko: „Ba“ albo „ha“. Ani słowa więcej.

— Już mi się znudziło chodzić po parku — powiedział Mimi — chodźmy teraz tam, do lasu.

— Ba — powiedział ochmistrz dworu i wyszedł z dziećmi za bramę parku.

Szli i szli, aż doszli do dużego błota. A że ochmistrz miał na nogach cienkie jedwabne pantofle, to zaraz sobie nogi przemoczył. Stał więc i zawołał: „ha“.

A to miało znaczyć:

— Muszę się wrócić i włożyć buty z cholewami.

Ale zanim zawrócił, położył palec na nosie i zawołał: „ba“.

Miało to znaczyć:

— Czekajcie tu na mnie, książę Mimi i księżniczko Fifi, dopóki nie wrócę w mych butach z cholewami.

Ale tego nie zrozumiały książęce dzieci i, gdy zostały same, poszły sobie dalej do lasu. A to był właśnie ten sam las, w którym mieszkała Pomperipossa.

Gdy małe ptaszki zobaczyły dzieci, zaraz zaczęły wołać:

— Nie idźcie tam! nie idźcie tam!

Ale dzieci nie rozumiały ostrzeżenia ptaszków, tylko szły dalej i tak rozmawiały ze sobą:

— Kto wie, może będziemy mieli jakąś zajmującą przygodę.

— Chciałbym. W zamku naszym jest tak nudno! Ja mam w kieszeni sześć erów (er — to grosz szwedzki). A ty ile masz?

— Ja mam tylko jednego era, ale ja umiem piec jabłka.

— No, to możesz się zajmować gospodarstwem. A ja będę dostarczał żywności.

I tak szli gęstym, ciemnym lasem szukając przygody, aż doszli do małego domku, domku zbudowanego z piernika, czekolady i słodkiego ciasta.

— Hej, hej! Kto tu jest gospodarzem? — zawołał Mimi. — Pozwól

nam zjeść kawałek ściany, bo jesteśmy bardzo głodni.

I odłamał wystający róg piernika.

A wtedy Pomperipossa wystawiła przed okno swój długi nos. Zobaczyła dzieci i zawołała:

— Ach, chodźcie tu do mnie, dzieci! Ja jestem wasza dobra chrzestna matka. Możecie tu u mnie dostać naleśników.

Fifi i Mimi uwierzyli jej i weszli do domku.

— Ha! — zawołała Pomperipossa — już bardzo dawno nie jadłam pieczonej gęsi.

Zamachała w powietrzu czarno-księską pałeczką, zamamrotała jakieś czarodziejskie słowa i... zamieniła dzieci w gąski.

Gąski patrzyły na siebie okropnie przerażone.

— Ochmistrzu, ratuj nas! — chciał zawołać Mimi, ale to wyszło tylko: — Ga-ga-ga.

Bo nieszczęsne dzieci przestały już teraz mówić, a tylko gęgały.

— Aj! — krzyknęła w tej chwili Pomperipossa i chwyciła się za nos. Bo ten nos zrobił się nagle znowu dłuższy. Już był taki długi, że mogła się nim podpierać niby laską.

— Dobrze jej tak! — zaświergotały wszystkie ptaszki w lesie.

— Czekajcie! — ryknęła czarownica i pogroziła im pięścią — zaczaruję i was.

— My sobie z tym damy radę! — zaświerkały znów ptaszki chórem i poleciały prosić bociana, aby tu przyszedł i wyratował dzieci.

Bocian jest najmądrzejszy ze wszystkich, bo na każdą zimę odlatuje do Egiptu i tam studiuje hie-



roglify, tajemnicze napisy na piramidach.

— Teraz sobie popływajcie, moje gąski — powiedziała Pomperipossa i popędziła Mimi i Fifi przed sobą do jeziora.

— Ga-ga-ga... — wyrzekały gąski, ale trudno. Musiały dreptać naprzód i wejść do zimnej wody.

— Mówicie: ga-ga-ga... może dopominacie się o naleśniki? — szydziła z nich czarownica.

Biedne gąski musiały zjadać teraz

małe żabki i mokrą trawę, a to jest przecież co innego, niż naleśniki.

Pomperipossa stała na brzegu i pilnowała gąsek. Wtem usłyszała za sobą jakiś szelest. Obejrzała się.

To był ochmistrz dworu, który był już w zamku i nałożył buty z cholewami. A teraz szukał zaginionych dzieci.

— Ha! — zawołał ochmistrz dworu ujrawszy Pomperipossę. — Ba! — i wyciągnął wielki miecz, aby nim obciąć nos czarownicy!

Ale Pomperipossa ciachu-machu... zaczarowała go w starego kruka. Nieszczęsny ochmistrz skakał teraz po brzegu i krakał: — Kra-kra-kra!

— Tak, kracicie i gęgajcie! — Śmiała się Pomperipossa zadowolona. — Nic nie ma na świecie, co by was uwolniło od moich czarów, hi-hi...

Wtem usłyszała za sobą trzask i szebiot ptaszków. Obejrzała się. Na polanie stał bocian i poważnie kiwał głową.

— Właśnie, że jest coś... właśnie, że jest... Jeżeli rozlegnie się krzyk tak silny, że będzie go słycać na całym świecie, wtedy wszystko, coś zaczarowała, powróci do swej dawnej postaci. A ty, Pomperiposso, zamienisz się wtedy w kamień.

— Wiem o tym, wiem... i bez tego gadania — krzyknęła zła czarownica — ale to się stanie dopiero za milion lat!

— Nie wiadomo, może wcześniej! — zaświergolili wszystkie ptaszki.

— Cicho tam, cicho! — krzyczała rozgniewana Pomperipossa. — A to mnie te ptaszyska rozłościły! Aż mnie nos pali ze zdenerwowania.



I czarownica wsadziła nos do jeziora, aby go ochłodzić.

Nie wiedziała, że właśnie tego nie powinna była zrobić.

Bo w głębi jeziora mieszkał olbrzymi rak, który już trzy dni nie jadł obiadu. I raczysko łaps! swymi wielkimi szczypcami za nos Pomperipossy!

Czarownica wrzasnęła przeraźliwie i ze strachu zrobiła się fioletowa jak śliwka. Ale rak nie puścił nosa, tylko ścisnął go jeszcze mocniej.

Wtedy Pomperipossa wrzasnęła tak przeraźliwie, że aż ją było słychać w Afryce i w Ameryce, i w ogóle na całym świecie!...

— To był największy krzyk, jaki się rozległ od początku świata — powiedział bocian i miał rację.

I wtem fluks! kruks! Już nie ma gąsek, tylko na brzegu stoją Mimi i Fifi. Już nie ma kruka, tylko ochmistrz dworu wraz ze swymi orderami i z peruką, i z mieczem, i z długimi butami.

— Ha! Ba! — powiedział ochmistrz ze wzruszenia aż dwa słowa.

Podał jedną rękę Mimi, a drugą Fifi i popędził z nimi co sił w nogach do zamku.

A tam siedział już na tronie stary książę, w jednej ręce trzymał różgę, w drugiej wielkie jabłko i czekał na powrót dzieci. Bardzo był rozgniewany, że tak długo siedzą na przechadzce.

Wtem drzwi się otworzyły. Weszli wszyscy troje i stanęli przed księciem.

— Ha! — powiedział ochmistrz dworu.

A wtedy książę zrozumiał, że to miało znaczyć: Nie mogliśmy wrócić wcześniej, bo byliśmy zaczarowani przez Pomperipossę.

Wtedy książę-ojciec tak strasznie się ucieszył, że cała ta przygoda zakończyła się szczęśliwie, że różgę zatknął za żabot ochmistrza dworu, a jabłko zaraz podzielił na dwie równe części i dał je dzieciom.

A cóż się stało z Pomperipossą?

Stało się to, co przepowiedział bocian: zamieniła się w kamień.

Można tę Pomperipossę i teraz jeszcze zobaczyć nad brzegiem jeziora w dalekiej Laponii. Skamieniała czarownica tak obrosła mchem i krzakami, że wygląda jak mała góra.

Ale raz na rok przybiera znów dawną postać. A wtedy wychodzi

z jeziora olbrzymi rak i chwytają za nos. Pomperipossa wówczas wydaje najstraszliwszy na świecie krzyk i znów zamienia się w kamień.

Jakiego dnia w roku to się dzieje, to wiem tylko ja. Ale wam tego nie powiem. Bo mogłoby się zdarzyć, że przez ciekawość właśnie powędro-

walibyście na ten dzień nad jezioro, aby czarownicę zobaczyć.

A wtedy ...a wtedy twój mały nosek zrobiłby się taki wielki, jak nos Pomperipossy. A tego przecież żadne z was by nie chciało.

Tłum. ze szwedzkiego
J. Porazińska

KAJTKOWE PRZYGODY

O PAJDCE Z PIEPRZEM I O TYM, CO OD CHLEBA LEPSZE

No, nareszcie robi się trochę cieplej. Noce są krótsze, słońce mocniej dogrzewa, już teraz nie siedzę na grzędzie z kurami ani w izbie na piecu, tylko idę sam, z własnej woli na podwórko i spaceruję po całym obejściu, grzeję się na słońcu i pilnuję, żeby wszędzie był porządek albo wychodzę na gościniec, zaczajam się na dzieci, co idą do szkoły i odbieram im chleb z masłem. Odkąd spróbowałem tej Weronczynej kukielki, to ciągle bym tylko chleb z masłem jadł.

Jak dzieciaki idą do szkoły, to zawsze w torbie kawałek chleba niosą i to często posmarowany masłem. Te starsze to się mnie nie boją, ale za takim malcem, jak pogonić i w piętę z raz dziobnąć, to zmyka z wrzaskiem i chleb za siebie rzuca!

To zdobędę na dzieciakach parę dobrych pajdek chleba, nie przepuszczę żadnemu smykowi, podjem sobie i wracam jakby nigdy nic na swoje podwórko.

Różne wstrętne ptaszyska: jakieś pokraki wrony, kawki, podkasane sroki i wróble śmigają w powietrzu jak ryby w wodzie, a ja jakoś nie mogę... Podfrunę trochę i zaraz opa-

dam na ziemię... Pamiętam doskonale, że przed zimą i ja latałem...

Ooo, jak to było przyjemnie, tak płynąć sobie w powietrzu wyżej, niż chmury, pod samym słońcem. Teraz ani rusz nie mogę! Rozłożę skrzydła szeroko: — mach... mach... mach... biję nimi powietrze, podskakuję, podryguję, ale nie mogę na dobre nóg oderwać od ziemi, jakby były z kamienia.

Sroki i wróble, jak tylko to zobaczą z płotu, to zaraz skrzeczą i ćwierkają mi nad uchem:

Kajtek z korytka ziemniaczki

wsuwa,
ale nie umie w powietrzu fruwać!
Kajtek skrzydłami — mach! mach!
machu!...

latać nie będzie, nie ma strachu!

Nie zwracam wcale uwagi na to, co ta hołota wywrzaskuje z płota, ale co by to było, gdyby moi bracia wrócili z ciepłych krajów, a ja bym nie umiał fruwać! Ćwiczę się po całych dniach, ale jakoś tępo mi idzie!

Dzisiaj wyszedłem znowu na gościniec, patrzę, leci Marysia od Chmielów i druga jeszcze mniejsza od niej, zacząłem się pod płotem,

minęły mnie, a ja jak się za nimi nie puszczę, dziewczyny w krzyk, a ja im z dziobem do pięt!

— Dacie chleb czy nie, bo wam pięty podziurawię!!

Rzuciły mi pajdkę chleba, złapałem ją i w krzaki... A tu słyszę Antka głos:

Kajtek, rozbójniku jeden, nie wstyd ci to na dzieci napadać?!... Łykam tę zrabowaną pajkę za krzakiem czym prędzej, żeby mi jej nie odebrali i słyszę, jak Antek z Kasperem coś do siebie mówią i śmieją się, że aż się zataczają biegnąc pędem do domu.

Pożarłem moją kromkę chleba do okruszyny i wracam na podwórkę. Patrzę, a tu już Antek rąbie drzewo, a Kasper siedzi przy nim na kłodzie i przypatruje się, jak szczapki drzewa pryskają spod siekiery.

Podchodzę bliżej, patrzę, a tu przy Kasperku leży tęga pajda chleba, nasmarowana grubo masłem!... Kasper nie patrzy wcale w tę stronę, tylko na te polanka, co je Antek rąbie... Wyciągam nogi, skradam się ostrożnie — łapass!... za chleb i w nogi!...

Przystanąłem za drwalką i łykam pajkę co sił, mało się nie udławię!

— Ojjojjoj!... Co to!... Szczypie!... Piecze!.. Pali!.. Kle!... Kle!.. Ratunku!... Ratunku!... — Otwieram dziób, zieję, zaczynam biegać po podwórku i bić, bić skrzydłami z tego pieczenia... Wtem czuję, że się unoszę w powietrze coraz wyżej!... Co za radość!... Pali mnie okropnie w gardle, ale to nic! Co za szczęście!... Już sie lęzę na stodołę i skaczę po dachu, podryguję, bo w gardle piecze jak rozżarzone węgle spod komina!



Wstrętne chłopaczyska zaśmiewają się na podwórku, klaszczą w ręce i krzyczą: — A widzisz, Kajtek, oduczmy cię rozbójnictwa, teraz zawsze chleb będzie pieprzem posypyany dla ciebie, złodziejaszku, szabrowniku jeden!

Ojej, już nigdy w życiu tego chleba nie ruszę, żeby był nie wiem jak grubo masłem posmarowany. Drugi raz już się na ten pieprz nie dam nabrać.

Ale właściwie, to nic się złego nie stało, w gardle mnie trochę popiekło, w nosie pokręciło, ale za to nauczyłem się latać!

Zaraz prosto z dachu rozłożyłem skrzydła i poleciałem na łąki, zobaczyć czy jakiej żabki nie spotkam czasami.

Żabki jeszcze nie spotkałem, ale niedługo już się pokażą i co mi tam wtedy po waszym chlebie! — schowajcie go dla siebie!

Dzieci niech sobie jedzą chleb z masłem i niech chodzą na piechotę, a ja będę latał i łykał żabki na łące.

I ciekawy jestem, czyje drugie śniadanie będzie smaczniejsze!...

(ciąg dalszy nastąpi)

Maria Kownacka



BILETY WIZYTOWE

W jakim miesiącu odbył się ten mecz?

Mecz Ra

W jakich górach mieszka ten ptak?

Ptak Ary

W jakim zawodzie pracuje ten pan?

D. Karurz

SZARADA

Pierwsze — liczba okrągła z trzech liter się składa.
Drugie — pozostaje w lesie, gdy ścięte drzewo spada.
Uczeń otrzymuje całość za swą pracę i wytrwałość.

Rozwiązania z nr 12. szarada: tatarak; szarada kotlet; dwie cegły ważą 4 kg.



Prenumerata kwartalna za 6 kolejnych numerów 54,— zł
Prenumerata zbiorowa (szkolna) od 3 egz. wwyż 51,— zł
Cena pojedynczego numeru łącznie z przesyłką 10,— zł
Prenumeratę wpłacać można na konto PKO. I-128 lub konto Banku Gosp. Spółdz. 85

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1
Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik art. B. BOCIANOWSKI.
Wydawca w imieniu Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia” TOMASZ SZCZECZURA.

Wydano w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu. K. 21537



NAD OBŁOKAMI

Fot. „Film Polski”.